

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

## Rosjanie kręcą film

Błąkałam się po swoim ciele, próbując je sobie przyswoić, jakoś się w nim rozeznąć. Słabe było to moje ciało, aż mnie zawstydzalo. Nie zostało w nim nic z potęgi, jaką mu przypisywałam, gdy trwałam w grobowcu klatki. Nie miałam siły mrówki ani pamięci wrony. Właściwie pozostały mi tylko oddech i jedna, jedyna myśl: że cyfry na moim przedramieniu mówiły, ile razy będę musiała udowodnić światu własną wartość, by na nim pozostać. Z drugiej strony, nawet ja wiedziałam, że to nieprawda, bo to logika żywcem wyjęta z klatki, należąca do mojego oprawcy, więc muszę ją przewyciężyć.

Trzeba było chleba, żebym na nowo odnalazła palce, a potem ręce. Gdy chleb przeszedł mi przez gardło, odkryłam, że mam także żołądek. Z własnymi plecami zapoznałam się na nowo, gdy Rosjanie położyli mnie na łóżku w szpitalu. Tam wyglądałam przez okno, niekiedy patrzyłam na ścianę, a czasem także na sufit, a ponieważ nie było zacieku, z którym mogłabym porozmawiać, stałam się najszczęśliwszą dziewczynką na świecie.

I choć wszystko to pojęłam, gdy znalazłam się poza ciemnością klatki, nie do końca zdawałam sobie sprawę, że mam oczy, póki tego samego dnia, nieco później, nie zobaczyłam kamery. W zasadzie wiedziałam, że mam oczy, tylko nie pamiętałam, do czego służą, bo wciąż przywykły do świata pełnego światła.

Kamerzysta kręcący film dla Rosjan był poważnym mężczyzną o wąskich wargach. Wielu żołnierzy z Armii Czerwonej zachowywało się głośno i swobodnie, lecz on był spokojny i powściągliwy. Przypuszczałam, że kamera zobaczyła dla niego zbyt wiele, a może także przedstawiała mu szczegóły, których wolałby nie poznać. Co zastanawiające, jego uśmiech zobaczyłam po raz pierwszy, gdy zainteresowała mnie kamera.

Jakże niewymownie czule otulał obiektyw białą szmatką. Podniósł go do światła, obejrzał uważnie, wyczyścił po raz kolejny, a ja zorientowałam się, że wyciągnęłam do niego rękę, jakby pogładzenie powietrza otaczającego ten magiczny przedmiot było całkowicie wystarczającym kontaktem.

– Dotąd po nic nie sięgała – powiedziała kobieta ze zdumieniem.

Kobieta... To ona pierwsza przejęła mnie po odnalezieniu i nie chciała ode mnie odejść. Pamiętałam jej oczy jak u lalki, pamiętałam jej dotyk – i nic więcej. Ktoś mi powiedział, że to pani doktor, że można jej ufać i nie trzeba się bać. Zaakceptowałam to, ponieważ podobało mi się, jak wymawia moje imię, zupełnie jakby mnie znała od dawna.

Kamerzysta i kobieta razem starali się, bym zdołała spojrzeć przez obiektyw. Zostałam przekazana z jej objęciem w jego ramiona i przyłożyłam twarz do szkła. Chyba

spodziewałam się zobaczyć w oku kamery kogoś, kogo kochałam. Kogoś, kogo kochałam i kto nadal jest żywy. Niestety, nikogo tam nie było.

Znalazłam w tej kamerze wyłącznie rozczarowanie. Nie wiem, dlaczego oczekiwałam, że małe czarne pudełko będzie zawierało coś lepszego niż widok miejsca, w którym się znalazłam. Widziałam jedynie malutkich więźniów, których Rosjanie przebrali w obszerne pasiaki przeznaczone dla dorosłych, aby stworzyć odpowiednią atmosferę w filmie. Dzieci były zmarznięte i smutne, a ich twarze nie mówiły nic o wolności.

Chociaż nie wiedziałam, jaką mam osobowość, odnosiłam wrażenie, że należę do tych, którzy są zainteresowani strzeżeniem uczuć innych ludzi, dlatego też postarałam się wyglądać na zainteresowaną, patrząc przez kamerę. Gdy skończyłam, kobieta wzięła mnie na ręce, komentując mój niewielki ciężar, i dołączyliśmy do grupy, by Rosjanie nakręcili film. Poprzemieszczaliśmy się przy ogrodzeniu, podygotaliśmy w śniegu, młodzi i pozbawieni talentu aktorzy, czuliśmy się zagubieni. Dlaczego mamy nosić te ubrania?, pytaliśmy ciągle. Nigdy wcześniej nie nosiliśmy takich ubrań! Dlaczego idziemy, ale nie wychodzimy? Kręcących film nie interesowały cudze opinie. Chcieli jedynie, byśmy grzecznie maszerowali na dowód, że odzyskaliśmy wolność.

Oświetleni śnieżnym blaskiem poruszaliśmy się niczym wybudzeni z głębokiego snu. Kamera ukochała sobie w szczególności dwie twarzyczki, dziesięcioletnie dziewczynki, Rumunki, które zostały wypchnięte na pierwszy plan. Chociaż tuliły się do siebie, idąc przed obiektywem, zachowywały się zupełnie różnie. Jedna była spokojna i poważna, podczas

gdy druga śmiało podniosła głowę, a nawet pokazała język. Czy ta mina była celowa i przemyślana – bezczelny wyrzut pod adresem operatora kamery – czy też raczej dziewczynka wystawiła język z pragnienia lub odruchowo albo ze zwykłej dziecięcej przekory – trudno powiedzieć. Jedno jest pewne: te bliźniaczki miały któregoś dnia opowiedzieć światu o mężczyźnie, który nie był aniołem ani lekarzem, ani wujaszkiem, ani przyjacielem, ani geniuszem. Miały opowiedzieć światu o mężczyźnie, którego my, eksperymety, musieliśmy wygnąć z myśli, by pamiętać o nim jedynie wówczas, gdy należało przestrzec innych, że ludzie tacy jak on istnieją, żyją razem z nami pozbawieni duszy, spragnieni cudzego nieszczęścia, zła knieni krzywdzenia innych dla własnej rozrywki i prób osiągnięcia perfekcji, a także dla zaspokojenia wrodzonego okrucieństwa. Eva i Miriam Mozes\* nie pozwoliły, by świat zapomniał, co nam uczyniono.

Wtedy jednak, gdy kamera kręciła film, tuliły się do siebie, przestraszone, że ktoś może je rozdzielić, i choć miały siebie nawzajem, były równie oszołomione jak cała reszta. Na twarzach wszystkich uwiecznianych dzieci królowała dezorientacja. Szliśmy przed siebie między płotami, jakbyśmy byli wolni... Tamta brama to nie była ta sławna, którą poznał świat, lecz zupełnie inne wyjście, nienaznaczone przez słowa... A potem wracaliśmy, jakbyśmy wcale wolni nie byli, i szliśmy znów, i zanim stwierdzono, że film jest taki, jak trzeba, straciliśmy wszelką pewność, gdzie leży nasza prawdziwa przyszłość, lecz Sowietci zapewnili nas, że znajdziemy się w każdej gazecie, w każdym kinie. Ludzie nas zobaczą i będą wiedzieli, że żyjemy.

\* Chodzi o książkę *Przetrwalam. Życie ofiary Josefa Mengele*, napisaną przez Ewę Mozes Kor i Lisę Rojany Buccieri

W ciągu tego ustawicznego marszu w tę i z powrotem i cięcie, i cięcie... zwróciłam na coś uwagę. Prawie każde dziecko stanowiło połowę pary. Każde było takie samo, jak to drugie, z zachowania i głosu, maszerowały razem, ramię w ramię, krok w krok, poruszały się, jakby jedno nie mogło choćby drgnąć bez drugiego. Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że nie jestem całością.

\* \* \*

Wiedziałam niewiele, jednak szybko dowiadywałam się coraz więcej. Znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie mieliśmy umrzeć, a jednak żyliśmy. Co to miało znaczyć – nie rozumiałam i nie byłam w tej niewiedzy odosobniona. Nikt nie mógł mi powiedzieć nic pewnego, naprawdę nic, choć źródła informacji było wiele i wszystkie pytowały jak najęte. Traktowane były z góry i ograniczane tak, że w szpitalu kompletnie zdziczały, spędzały czas na krzykach i przeskakiwaniu z łóżka na łóżko.

Tego przeskakiwania im zazdrościłam. Pragnęłam odzyskać tę umiejętność, skakać i podskakiwać, biegać i tańczyć... niestety zawsze, gdy zaglądałam pod bandażę na stopach, taka możliwość wydawała mi się bardzo wątpliwa.

Natomiast jeśli chodzi o krzyki – nimi nie byłam zainteresowana. Tymczasem oswobodzone dzieci uwielbiały krzyczeć. Na ich plus muszę zapisać, że wydawały z siebie krzyki zorganizowane, trzymały się określonego wzoru i wiedziały, w czym rzecz.

- Koniec z igłami!
- Koniec z „Heil Hitler”!
- Koniec z pomiarami!

A gdy któraś z tych recytacji dobiegła końca, chór zwracał się do mnie.

– Koniec – powiedziałam. – Koniec.

Zlitowali się nade mną i podrzucili mi słowa do zakończenia zdania. Apel. Zupa z trawy. Zastrzyki. Prześwietlenia. Elma. Mengele.

Przy ostatnim zadrżałam. Wiedziałam, że określało mężczyznę, który zamknął mnie w klatce. Słyszając jego nazwisko, straciłam ochotę na zabawę, a mimo to zmusiłam się do udziału.

– Koniec z klatkami – obwieściłam całemu szpitalowi.

Tyle mogłam zaproponować, bo pamiętałam jedynie klatkę. Pewna byłam jeszcze tylko jednego faktu, a był on wyjątkowo intrygujący: moje imię zostało wyskrobane na ścianie. „Kochana Perło”, mówiły litery. Lubiłam przeciągać po nich palcem w ciemnościach i zastanawiać się, kto kochał mnie tak mocno, by je tam zostawić.

\* \* \*

Tego popołudnia kobieta, która nosiła mnie w czasie kręcenia rosyjskiego filmu, zakłopotana mnie swoją czułością. Chciałam ją spytać, czy jesteśmy rodziną, bo zachowywała się, jakby była mi winna całą tę troskę, którą mnie otaczała. Kąpała mnie i karmiła, i nawet zaniedbywała inne obowiązki w szpitalu, by zaspokoić moje potrzeby. Próbowałam jej uzmysłować, że są też inni chorzy, lecz moje wysiłki spełzły na niczym.

Gdy ułożyła mnie w łóżku, w osobnym pokoju na tyłach szpitala, pojawił się jakiś mężczyzna. Przystanął w progu, ukryty w cieniu.

– Tatus? – krzyknęłam.

– Poznała cię – powiedziała kobieta.

Mężczyzna spochmurniał. Jego cień przesunął się, widziałam, jakby właściciel rozważał, czyby nie odejść. Potem jednak zdjął kapelusz i przycisnął go do piersi.

– Powiedz, że nie jestem jej ojcem.

– Czy to by naprawdę było takie złe? – szepnęła kobieta.

– Gorsze, niż ci się wydaje – odszepnął mężczyzna.

Mówił w imieniu nas obojga, tego byłam pewna. Podobnie jak mnie, także i jemu nie pasowała perspektywa utrzymywania więzi międzyludzkich, wszystko na to wskazywało. I choć z początku jego reakcja mnie przygnębiła, z czasem zaczęłam się z nim solidaryzować. Podczas naszego exodusu zorientowałam się, że były cheski żołnierz także mieszkał w klatce, został podporządkowany, zapędzony do kąta i przypięty przez tego samego oprawcę, choć na jego zmysły przypuszczono szturm całkiem odmienny od mojej izolacji.

Podszedł bliżej, na tyle blisko, że zobaczyłam jego twarz. Pamiętałam tę twarz, kiedyś uczył mnie, jak ważne jest zapamiętywanie imion dzieci. Zrobiło mi się okropnie wstyd, bo dawno zapomniałam wszystkie, na szczęście jednak nie pytał o nie w tej chwili. Miał do wyjaśnienia pilniejsze sprawy.

– Perło, nie jestem twoim ojcem – powiedział. – Musisz to zrozumieć. A ta pani nie jest twoją matką. Twoja rodzi-  
na, twoja bliźniaczka...

Kobieta poderwała się z miejsca i uciszyła go. Po jego twarzy przemknęło zmieszanie. W końcu kiwnął głową i wyszedł, niezadowolony z interwencji, lecz bez zamiaru, by się jej sprzeciwić.

W tamtych dniach wszyscy ustępowali. On też się poddał. A co ze mną? Miałam nadzieję, że moja umiejętność poddawania się została w klatce, jednak trudno mi było zyskać pewność.

Tego wieczoru kobieta, układając mnie do snu, wyjaśniła mi, kto jest kim. Tamten mężczyzna to Ojciec Bliźniąt, a ona nazywała się Miri. Miałam nigdy nie nazywać jej panią doktor. Zrozumiałam.

\* \* \*

Ojciec Bliźniąt miał listę. Znajdowały się na niej dzieci, ich imiona, wiek, miejsce pochodzenia, a nawet numer baraku, w którym mieszkali.

Zerknęłam na tę listę, gdy przeglądała ją Miri – to było w dniu, gdy ruszyliśmy w drogę, 31 stycznia 1945.

Wiedziałam, że jestem kimś, kto ma na imię Perła. To nie było nic nowego. Tyle powiedziała mi ściana.

Według listy skończyłam trzynaście lat. To miało sens. Gdy przyglądałam się dziewczynkom w tym wieku, dostrzegałam, że byłyśmy podobnego wzrostu i mniej więcej tak samo wychudzone. To też się zgadzało.

Rubryka z miejscem mojego pochodzenia mogła równie dobrze pozostać niewypełniona, ponieważ napisane w niej było: nieznane.

Widziałam, jak Miri skreśliła „nieznane” i wpisała w tym miejscu „Miri”. Pochwyciła moje spojrzenie, stuknęła ołówkiem w papier.

– Może tak być? – spytała.

Przytaknęłam, a ona zrobiła minę, jakbym jej powiedziała najwspanialszy komplement.

Ojciec Bliźniąt przyjrzał się tej części informacji z ciekawością, gdy Miri oddała mu dokument, lecz nie odezwał się słowem. Chyba był stanowczo zbyt zajęty, by się przejmować tym, że ktoś zmienił miejsce pochodzenia na imię. Przechodził od dziecka do dziecka, wypytyując o zawartość tobołków, o butelki z wodą, chleb, sardynki, cukierki od Sowietów... Wypytywał o stan butów i rozdzielał futrzane płaszcze wygarnięte z Kanady.

Dzięki tym wszystkim dobrom dzieci zmieniły kształty na krągłe i grube. Drobne ciała zostały wchłonięte przez bagaże i futra, a twarzyczki ledwie wystawały spod kapturów. Trochę jakby się przekształciły w armię bezradnych niedźwiedziątek, przy czym Ojciec Bliźniąt właśnie tak je traktował.

– Duzi zajmują się małymi, a mali najmniejszymi, rozumiecie? Starajcie się nie zostawać w tyle, nie zwalniać. Jeżeli zostaniecie w tyle, będę mógł jedynie życzyć wam szczęścia. Teraz musicie być żołnierzami.

Liczne noski uniosły się dumnie po tej krótkiej przemowie. Zazdrościłam im, też chciałabym czuć się taka zmotywowana. Tymczasem myślałam tylko o tym, że brakuje mi w tej podróży mojej drugiej połowy, która by szła obok, pochylała się nade mną i żartowała sobie ze mnie, że leżę na taczce.

Było trzydzieścioro pięcioro dzieci, wszystkie znane, tylko brakło między nimi tego Kogoś mojego.

– Wiem, że miałam siostrę bliźniaczkę – powiedziałam Miri – tylko jej nie pamiętam. Powtarzam sobie, że pod wieloma względami była taka jak ja, a pod innymi się różniłyśmy, tylko nie wiem, jaka ja jestem.

Minęliśmy bramę bez towarzystwa oka obiektywu, który by świadczył o wspaniałości tego zdarzenia. Bez

kostiumów. Bez kamery. Wtedy tego nie wiedziałam, ale chciałam, by świat mógł nas zobaczyć właśnie w tamtej chwili: grupki dzieci idące zlodowaciałą ścieżką, te zbyt małe nie zwróciły uwagi na słowa nad główną bramą, które spinały łukiem niebo nad Auschwitz; a te nadal zbyt młode, lecz teraz już za stare, przypatrywały się ich znaczeniu zmrużonymi oczami. Widziałam, jak czternastolatek o rozdartym uchu i gęstych zmierzwionych włosach schylił się po kamień, by nim cisnąć w słowa nad bramą. Szperał pod śniegiem, tłumacząc Ojcu Bliźniąt, że musi znaleźć dość ciężki, by metal zadźwięczał w odpowiedzi. Zdawało mi się, że rozpoznaję tego chłopaka, który rozgarniał śnieg. Było coś znajomego w grymasie zaciśniętych ust, w sposobie wybierania kamienia, jakby nawykł do zdobywania przedmiotów potrzebnych do realizowania szczególnych zamiarów. Szukałam w myślach jego imienia, lecz nie znalazłam. Gdyby natrafił na odpowiedni kamień i uderzył nim w słowa... pewnie wtedy by się przede mną odkryło, może usłyszałabym je w echu kamienia uderzającego w metal. Tymczasem jednak poruszaliśmy się dość szybko, Miri pchała mnie na taczce, dzieci szły dalej z Ojcem Bliźniąt, a poza tym zaczynało wyglądać na to, że chłopiec nigdy nie znajdzie kamienia, który mógłby posłużyć mu do osiągnięcia konkretnego celu. Przywódca naszego oddziału zaczął go ponaglać.

Jesteśmy spóźnieni, powiedział chłopcu Ojciec Bliźniąt, straciliśmy mnóstwo życia. Nie ma sensu marnować jeszcze choćby jednej chwili na oglądanie się wstecz.